

# Krystyna Janda: Bilans

**D**okładnie 25 kwietnia mija 25 lat od chwili, gdy wybitna aktorka po raz pierwszy wystąpiła na scenie. W teatrze Ateneum Janda zagrała wówczas fredrowską Anielę w „Ślubach panińskich” reżyserowanych przez jej profesora Jana Świderskiego.

- Jak Pani wspomina swój debiut?

- Okropnie, do dziś mam ciarki na plecach, jak o tym pomyśle. Miałam wystąpić obok pani Śląskiej, prof. Świderskiego, Grażyny Barszczewskiej, Tadka Borowskiego i Andrzeja Seweryna - wówczas mojego męża. Próbowałam, moim zdaniem świetnie grałam, tak jak czułam, czyli całą sobą, na pełny gaz. Nikomu to się nie podobało i wszyscy mnie reżyserowali naraz - koledzy, mąż, a profesor Świderski powtarzał: Anieli jest od anioła, nie od diabła. Z niepokojem przyjmowałam te uwagi i z przeczuciem, że nic nie potrafię zmienić, że to początek, nie jeszcze nie koniec i powinnam być prawdziwa za wszelką cenę, a kiedy ich posłuchałam, nie będzie prawdy. Jestem ile obsadzona - mówiłam cały czas i poplakałam z bezradności, ale po cichu i po kryjomu, przed mężem również.

- Pamięta Pani nastrój premierowego spektaklu?

- Pamiętam. W dniu premiery spuchłam ze zdenerwowania, dostałam wysypki, na dekolcie miałam czerwone plamy wielkości pięści. Ponieważ nie dało się ich niczym zamalować, dekolc w ostatnim momencie przysłoniono tiulem. Można sobie wyobrazić, co czułam, kiedy kurtyna poszła w górę. Myślałam, że za chwilę umrę, takie napięcie temu towarzyszyło.

- Byłam tego dnia na widowni teatru Ateneum i słyszałam jak się Pani przejęczyła. Zamiast kwestii: co, ja bym takie listy pisać miała, powiedziała Pani: co, ja takie pisty...

- To prawda, to straszne! Okropnie się ponysłam. Powiedziałam to i nawet nie zauważyłam tego przejęczenia. Nie wiedziałam, dlaczego koledzy w kulisie pękają ze śmiechu, sala też, na szczęście Andrzej Seweryn, który w tym momencie był ze mną na scenie, wytrzymał i grał dalej. Ale profesor, który czekał na wejście, mało brakowało, aby w ogóle ze śmiechu nie zagrał swojej sceny.

- Recenzenci pisali o Pani teatralnym debiucie w samym superlatywach. Następną rolę, czyli tytułowy Dorian Gray w Teatrze Narodowym też była sukcesem. A później poleciała prawdziwa lawina wybitnych kreacji... Czy mogłaby Pani powiedzieć, że to, co się zdarzyło, przerosło Pani oczekiwania?

- O tak. Wielokrotnie. I co więcej, ciągle powtarzam, że z moją urodą zrobić taką karierę i to w filmie także, jest prawdziwą sztuką.

- Ma Pani duże poczucie humoru.

- Ale ja naprawdę tak myślę.

- Moim zdaniem sukcesem wdzięcza Pani tylko sobie.

- Jednak kilka osób mi w tym pomogło, a ja

## KRYSTYNA JANDA

Urodziła się 18 grudnia 1952 roku w Starachowicach. Na scenie teatru Ateneum zadebiutowała 25 kwietnia 1976 roku rolą Anieli w „Ślubach panińskich” Fredry. Zaraz potem w filmie Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”. Od tego momentu datuje się festiwal jej ról filmowych, polskich i zagranicznych: „Granica”, „Bez znieczulenia”, „Człowiek z żelaza”, „Przesłuchanie”, za które dostała nagrodę w Cannes. Robiąc europejską karierą nie zerwała więzów z macierzystym teatrem. Jest świadoma własnej wielkości i jako prawdziwa indywidualność może sobie pozwolić, by grać w tym, co uważa za naprawdę interesujące. Z czasem rozszerza skalę działania. Pojawia się na dużym i małym ekranie: jako Krystyna w „Kochankach mojej matki” Piwowarskiego, w „Dekalogach” Kiesłowskiego, w serialu o Modrzejewskiej, czy jako telewizyjna „Elektra”. W końcu zaczyna ją fascynować reżyseria - w telewizji, w kinie, w teatrze.

tylko po prostu rozumiałam, co oni do mnie mówili. Umiałam wyciągnąć wnioski. Żadnej szansy, którą dostawałam w życiu, nie zaprzepaściłam, z każdej skorzystałam. Ludzi, z którymi pracowałam, obserwowałam, uczyłam się od nich, analizowałam ich posunięcia, a był to nie byle kto. To było i jest moim największym szczęściem i szansą, że do dziś pracuję w „pierwszej lidze”.

- Czy można w tym zawodzie w jakiś istotny sposób sterować swoją karierą?

- Nie tylko można, ale nawet trzeba.

- Co jest najważniejsze?

- Przede wszystkim należy decydować o tym, kim się jest, i pilnować własnego wizerunku. Bo nikt tego za nas nie zrobi.

- Zawsze ma Pani na uwadze swój wizerunek?

Aktorka przyznaje, że do pochwał odnosi się z podejrzliwością, krytykę zaś stara się spokojnie przeanalizować. Przemawiają do niej tylko madre uwagi.

Milena  
23.45, TV Polonia  
poniedziałek

# zysków i strat

Kapelusze, perty, etole  
- Krystyna Janda z córką  
Marią Seweryn, również  
aktorką.



Jako Marlena Dietrich  
na Festiwalu Piosenki  
Aktorskiej we Wrocławiu.

- Zawsze. Ani razu w ciągu tych 25 lat nie zapominałam o tym, kim jestem. Między innymi grając jedno, a odmawiając czegoś innego. Bo przecież nie gram wszystkiego, co mi proponują.

- Ktoś napisał o Pani: Krystyna Janda równa się talent, charyzma plus szczęście plus praca.

- Dodam nieskromnie plus inteligencja i świadomość. Bo bez tego nie byłoby mowy o żadnym sukcesie. Trzeba umieć odróżnić to, co mądre, od tego, co głupie. Rozumieć, w czym się uczestniczy.

- Są role, których Pani nie lubi?  
- Oczywiście.

- I co wtedy?  
- Staram się, żeby sztuka jak najręcej zeszła z afisza. Z pełną

otwartością proszę dyrektora teatru i kolegów, żebyśmy nie męczyli się już dłużej. Szczęśliwie zdarza się to w spektaklach, które są po prostu niedobre i nie ma o co walczyć.

- A może to, co Pani wydaje się kłęską, w rzeczywistości wcale nią nie jest?

- Umieć analizować własną pracę i zawsze wiem, kiedy mi się rola udaje. Gram spontanicznie, ale jednocześnie jakaś część mózgu nieustannie ocenia to, co robię.

- Przez tych 25 lat było raczej łatwo czy raczej trudno?

- Było raczej bardzo interesująco.

- Jak wypada bilans sukcesów i porażek?

- Tyle samo jednych i drugich. Z drobnym zastrzeżeniem, że takie jest moje zdanie, a nie opinia z zewnątrz. Czasem rzecz niezbyt wysokich lotów trafiała na dobry moment i był wielki sukces, a ja wiedziałam dokładnie, jaką to ma wartość. Kiedyś miałam do siebie pretensje, że coś jest moją winą, a dzisiaj już umiem „sprzedać” każdą słabość, a raczej ją ukryć. Marną rzecz staram się tak podać, by widzowie trwali w przekonaniu, że obcuja z czymś dobrym.

- Od pewnego czasu reżyseruje Pani i na tym polu też odnosi sukcesy? „Związek otwarty” został uznany za najlepszy spektakl roku, a niedawny „Klub kawalerów” pobił rekord oglądalności. Co Panią pociąga w reżyserowaniu?

- To, że sama decyduję o kształcie i wymowie spektaklu. A poza tym po 25 latach pracy mam umiejętności rzemieślnicze, jakich nie ma sześćdziesiąt procent reżyserów, z którymi ja pracuję. Nie mówię o pomyśle, o wizji. Mówię o rzemiośle.

- Czym się Pani kieruje w doborze obsady?

- Znajomością kolegów, ich wrażliwością i możliwościami warsztatowymi. Znam ich naprawdę dobrze i lubię. Wiem, że będę miała dookoła siebie przyjaciół, którzy będą starali mi się pomóc. To wszystko.

- Pod koniec roku głośno było o gigantycznej trasie, w którą wyruszyła Pani

po Polsce z trzema spektaklami: „Shirley Valentine”, „Lekcja śpiewu” i „Marlene”. Ilu widzów obejrzało to ekwilibrystyczne przedstawienie?

- Trzydzieści tysięcy.

- Jak wytrzymała to Pani kondycyjnie?

- Liżę rany do dzisiaj.

- Jakie było przyjęcie widzów?

- Nadzwyczajne. Wszędzie pełne sale. Aplauz. To ogromna satysfakcja. Mam takie uczucie, że zrobiłam prawdziwe podsumowanie tych 25 lat pracy.

Rozmawiała  
Jadwiga Polanowska



Šzczęśliwa laureatka Telekamery 1998 odbiera statuetkę z rąk Marka Piwowarskiego.



Sierpień 1980, początek strajków na Wybrzeżu. W takiej rzeczywistości przyszło żyć bohaterom filmu „Człowiek z żelaza” Andrzeja Wajdy.



W „Przedwiosniu” Filipa Bajona wcieliła się w matkę Cezarego Baryki (Mateusz Damięcki, na zdj.).